

Julian Przyboś

ELEGIA TUCHOLSKA

W lasach czarnych i gęstych,
przebijanych strzelającą wysoko czerwienią pni masztowych sosen,
w gajach migających złotawymi przebiegami saren,
w borze, do którego dotarło pierwsze stado wilcze...

*Chwila miną, chwila chwilą minowana,
i tu czas jest jak materiał wybuchowy!*

Między szerokim na pół nieboskłonu liściem
wyściełającym cieniście i miękko mojej głowie słońce
a wskazującą ręką długiej, wąskiej dali
strzaskanej o bór i ujętej w dwie stalowe szyny...

*Czyż mam do końca nie żyć, lecz usuwać miny,
a wiem, że przedwczesna wybuchnie?
(I to może jedyna pociecha?)*

Między jutrzanką kąpiącą się w jeziorze a oczekiwaniem,
między zorzą a zapadnięciem nocy i wyroku,
między zapachem żywicy a ciepłem uchodzącym z ciała...

Łatwiej byłoby mi zgodzić się na śmierć, niżli milczeć.

Przed żółtym płomykiem lilii zapalonym nad zwierciadłem wody,
przed przyłożeniem lusterka do ust, aby stwierdzić,
między lilią wodną
a oddechem konającego...

*Trudniej, niż umrzeć bez strachu, jest
żyć ze strachu i żywić się strachem,
tym chlebem powszednim śmierci.*

W łoskocie pędzącego parowozu, w grzmocie miażdżących kół,
pod które rzucali poeci i kwiaty, i siebie...

W Borach Tucholskich,
śród zasypanych w nich dołów masowych...

*Długo, wilgno, jakby z chmurki czerpał pierwsze grube krople,
drozd zadmuchał melodyjnie w idealny
flet z powietrza
(to jedyna: nie ludzka, obiektywna pociecha)
i kukulka zawołała, odleciała i szukała gniazda echa...*

Czerwiec 1958

Julian Przybóś